

## KRÓLESTWO BOŻE A POLITYKA

### 1. Nie dać się wciągnąć w politykę?

Męka Chrystusa — to człowiek, który musi być uratowany: cały człowiek i każdy człowiek. I dlatego krzyż Jezusa ma znaczenie polityczne. Nie usprawiedliwia żadnego upodobania w cierpieniu, lecz inspiruje walkę wyzwolenczą. W tym krzyżu Ojciec Jezusa nie tylko cierpi z cierpiącymi, ale także opowiada się po stronie cierpiących, wyzyskiwanych, uciskanych, przegranych (Bóg jest „stronniczy”). On wygrywa nasze porażki ale nie bez nas. Przez krzyż Syna Bożego rodzi się rzeczywiście świat nowy, zmienia się historia. Ale ta historia potrzebuje mnie — i ja jej potrzebuję. Uczeń Ukrzyżowanego działa, przegrywa i wygrywa w historii, jak jego Pan. *Extra historiam nulla salus*. Ewangelia bowiem nie odciąga chrześcijanina od aktualności, wręcz odwrotnie: w imię prymatu miłości bliźniego świadczony przez Jezusa przynagla go do osobistego zaangażowania wedle niesprawiedliwości czy nadziei istniejących w konkretnym społeczeństwie w określonym czasie. Ale Ewangelia nie daje żadnej recepty dla zbudowania Królestwa Bożego na ziemi. Odpowiedzialność za jego budowanie i kształt pozostawia sercom i fantazji uczniów Jezusa.

Czy Kościół miesza się do polityki, jak mu zarzucają wielcy tego świata? Kościół istotnie miesza się nie tylko przez swych świeckich wiernych, ale także przez księży, biskupów i papieża, pośredku różnorodnych sytuacji ucisku człowieka. Choćby piętując manipulację ideologiczną i manipulację fizyczną. A „mieszając się do polityki” — powołuje się na Ewangelię, która pokazuje, jak sam Jezus Chrystus kompromitował się w imię Dobrej Nowiny dla ubogich, więźniów, niewidomych i uciśnionych (por. Łk 4, 18). Słowo ewangeliczne, niesione przez chrześcijan, wybucha z samego wnętrza sytuacji niesprawiedliwych, łamiąc struktury opresji, zadając kłam kłamstwu propagandy, dokonując wyzwolenia, które zwiastuje. W głębinach dziejącej się historii Ewangelia jest słowem, które stwarza i przetwarza świat wedle modelu Królestwa.

Ale Słowo Ewangelii osądza także świat od zewnątrz — dzięki funkcji profetycznej Kościoła. Albowiem polityka winna się pod-

porządkować porządkowi moralnemu, nie może zaś być zwykłą techniką władzy. I Kościół właśnie troszczy się o ten porządek moralny, ustanowiony w stworzeniu przez Boga i w Ewangelii Jezusa Chrystusa głoszony. Ta troska jest nieustannie potrzebna, jako że wszelka władza podlega nieustannej pokusie uniezależnienia się od porządku moralnego. Ta pokusa nadużycia władzy staje się realnym i dramatycznym zagrożeniem w ustrojach i rządach totalitarnych, a to z braku autentycznych struktur kontrolnych. Oczywiście istnieje autonomia państwa i wszelkiej doczesności, ale nie może być ona absolutna: świat stworzony nie jest autonomiczny wobec swego Stworzyciela. Odniesienie do Boga i do transcendentnych zasad moralnych jest wyrazem prawdy stworzenia, a nie tryumfalizmu kościelnego czy nieszczęsnego klerykalizmu. Byłby to klerykalizm, ale w innym wydaniu: gdyby księża czy biskupi podejmowali konkretne wybory i zadania polityczne wynikające z tego odniesienia, a należące do świeckich chrześcijan i innych ludzi.

Działalność polityczna konkretna należy do świeckich jako część integralna ich chrześcijaństwa, i to zgodnie ze szczegółowymi powołaniami, nader zróżnicowanymi. Oczywiście taką działalnością zgodną z powołaniem chrześcijańskim czy humanistycznym będzie również święcenie — jakże wymowne — nieobecnością w życiu publicznym, społecznym i kulturalnym. Do duchownych natomiast należy towarzyszenie tej działalności politycznej światłem Ewangelii: przypominanie wartości nadrzędnych, które nie mogą być zagubione, uwypuklanie wymiaru etycznego decyzji politycznych, upominanie się o wymogi Królestwa Boga i Jego sprawiedliwość (por. Mt 6, 33) ponad interesami bezpośrednimi i partykularnymi. A więc to oświecanie Ewangelią musi stawać się często kontestowaniem działalności politycznej — chrześcijan i niechrześcijan — w imię dobra wspólnego, w imię wolności i godności człowieka, w imię imponderabiliów, dla nas: w imię Ewangelii. Oczywiście tego rodzaju aktywność profetyczna — choćby list pasterski Episkopatu czy homilia niedzielna księdza — jest też aktywnością polityczną, tego nie trzeba ukrywać ani się lękać czy wstydzić. Wstydzić się musielibyśmy my, kapłani i lewici, gdybyśmy znowu zostawili przy drodze człowieka na pół umarłego, który wpadł w ręce zbójców (por. Łk 10, 30-32).

## 2. Królestwo rodzi się w walce i męce

Solidarność z pokrzywdzonym, tak jak kontestacja krzywdy i zakłamania, transformacja społeczeństwa i twórcza współpraca,

jest już uobecnianiem, tu i teraz, Królestwa Bożego, na które dopiero czekamy. Solidarność nasza wzajemna jest tylko odpowiedzią na Bożą solidarność z nami, która nas uprzedziła i nieustannie uprzedza. Bóg zawarł Przymierze ze swym ludem. Pochodzi ono z miłości Boga miłosiernej, przez człowieka nie zasłużonej. Określając ją termin hebrajski *hesed* najlepiej oddamy chyba słowem „solidarność”. Bóg uczynił się solidarnym ze swym ludem i chce, aby wszyscy do tego ludu należący świadczyli sobie nawzajem tę samą solidarność. Boża solidarność objawiła się nam najgłośniej w Jezusie, który podzielił nasz los we wszystkim oprócz grzechu, wydał się za nas i zostawił nam sakrament Przymierza, abyśmy karmieni przez Niego żyli jak On i kochali jedni drugich jak On nas ukochał.

Uczestnicząc w tym Przymierzu z Bogiem uczeń Jezusa znajduje w nim źródło niewyczerpalne solidarności ze swym ludem i narodem, solidarności, która wiele może go kosztować, czasem nawet życie. Albowiem solidarny ze swym narodem, ze swą ziemską ojczyzną, pracując i cierpiąc dla niej, chrześcijanin nie zapomina, że nie ma tutaj zamieszkania stałego, bo jest tylko pielgrzymem. W nadziei Ojczyzny niebieskiej znajduje siłę do swej profetycznej kontestacji. Kontestując szuka uparcie i twórczo możliwości takiej transformacji struktur politycznych i relacji społecznych, aby jego ziemską ojczyznę coraz bardziej upodabniała się do tej, którą Bóg nam ofiaruje w darze. Nadzieja „Państwa Bożego” relatywizuje nasze ziemskie projekty nowego społeczeństwa i prowokuje nas do konstruktywnej pracy nad przemianą tego, co złe lub choćby niedoskonałe.

Atoli religia i polityka nie mogą się spotykać li tylko w etyce: że z jednej dziedziny rzuca się światło na drugą. Jest to spotkanie raczej zewnętrzne. Wielu ludzi szuka dzisiaj ściślejszej, wewnętrznej relacji pomiędzy życiem politycznym a życiem religijnym. Chodzi o większą integrację różnych dziedzin jednego życia jednego człowieka. Chodzi o jedność żywotną pomiędzy dynamiką egzystencji politycznej a dynamiką życia religijnego w Duchu Świętym. Rozpoczyna się ta integracja od fundamentalnej relacji politycznej: od spotkania i wzajemnego uznania się partnerów jako istot wolnych, ponad lękami, jakie w sobie nawzajem budzili. Ta postawa zaufania prowadzi przecież do uznania i związania się z Bogiem, któremu zawdzięczam mą wolność (J. Y. Calvez).

Mówi się już nawet o relacji między mistyką a polityką (E. Schillebeeckx). Czyż zresztą już od dawna nie mówiono o koniecznej więzi między miłością Boga a bliźniego? Jedną z postaci

miłości bliźniego jest „miłość polityczna”, a w niej zawiera się już miłość Boga. I tak miłość Boga — która prowadzi aż do mistyki — wciela się w konkretne zaangażowanie polityczne chrześcijan. Tak też otwiera się nowe pola dla chrześcijańskiej świętości, dla „świętości politycznej” (J. Sobrino). Jest ona dzisiaj szczególnym imperatywem dla chrześcijan, jest dla nich godziną łaski i sądu (*kairos*). Ten polityczny kształt chrześcijańskiej miłości Boga i bliźniego domaga się takiego samego nawrócenia i wyrzeczenia się siebie i wprowadza w takie samo cierpienie i w taką samą noc ciemną jak w klasycznej mistyce kontemplacyjnej. Ta świętość polityczna ma już także swoich współczesnych męczenników — dla Królestwa Bożego.

I dlatego nasze zwiastowanie Królestwa zmienia się dzisiaj w całym świecie. Brazylijski kardynał (Lorscheider) mówi: „nie ma teologii, która nie byłaby politycznie zaangażowana”. Kto staje na ambonie lub przy pulpicie, kto chce zwiastować Ewangelię nie na każdy czas, lecz na dzisiaj, kto przybliży Królestwo Boże nie całej ludzkości, lecz tej swojej konkretnej wspólnoty, ten już dał się wciągnąć w politykę, czy chce czy nie chce (nie stając się politykiem!). W tę politykę dał się wciągnąć swemu Panu, który go do tych ludzi, na tę ziemię, z taką Ewangelią posyła.

Z całą Ewangelią — do całego życia ludzkiego. Oscar Arnulfo Romero nigdy nie chciał być politykiem, lecz tylko kaznodzieją. Ale głosił słowo Boże nie jako abstrakcyjną naukę dla abstrakcyjnej masy wiernych, lecz jako orędzie konkretnie wyzwalające, dla konkretnych ludzi, w ich konkretnej sytuacji społeczno-politycznej. I siłą rzeczy miało ono konsekwencje społeczne i polityczne. Naturalną konsekwencją takiego właśnie orędzia była także jego śmierć męczeńska. Zginął pod koniec kazania. W kazaniu tym mówił m. in.: „Bezcelową rzeczą jest kochanie samego siebie, wystrzeganie się niebezpieczeństw życia. Na niebezpieczeństwa te wystawia ludzi historia, a kto chce ich uniknąć, traci życie. Kto zaś z miłości do Chrystusa służy bliźnim, będzie żył niczym ziarno pszeniczne, które obumiera, ale tylko na pozór. Jeśli nie obumrze, pozostanie samo. Żniwo zakłada śmierć... Choć trzeba dokładnie odróżnić historyczny postęp od wzrastania Królestwa Jezusa Chrystusa, nie wolno postępu historycznego zaniedbywać, ponieważ pozostaje on w ścisłym związku z Królestwem Bożym... Wiemy, że wszelkie starania o ulepszenie społeczeństwa, zwłaszcza jeśli jest ono tak bardzo jak nasze, uwikłane w niesprawiedliwość i grzech, są żądaniem Boga i otrzymują Jego błogosławieństwo. Proszę Was, Kochani Bracia i Siostry, byćcie o tym —

zyjąc nadzieją, oddaniem i poświęceniem — nie zapomnieli, byście czynili to, co jeszcze uczynić można...”

Nad jego grobowcem w katedrze San Salvador widnieje jego duża fotografia. Ze wzruszeniem widzę na niej arcybiskupa, który obie swoje dłonie złożył na Księdze Pisma Świętego. „Jeśli coś go doprowadziło do polityki — pisał A. Krims — to była to Ewangelia i jego wiara w Jezusa Chrystusa. Do tego doszło jeszcze u Romero — i to odróżniało go od jego współpracowników w urzędzie — że był on gotów słuchać uciśnionego ludu i od niego się uczyć... Ponieważ był gotów słuchać ludu, stało się w nim coś, co sam nazywał nawróceniem. Nie było to nawrócenie w dziedzinie nauki wiary, lecz w dziedzinie praktyki wiary, nawrócenia do ubogich, uciśnionych, bezradnych. Romero coraz bardziej rozpoznawał, że Kościołowi nie może wystarczyć słowne przyznawanie się do ubogich, ale że to przyznawanie musi wyrażać się w czynie. Jednak polepszenie ich położenia, zmiana niesprawiedliwych stosunków niemożliwa jest bez walki...”

To Ewangelia nakazuje chrześcijanom walkę. Chodzi o walkę o sprawiedliwość. Ale jest to jedyna w swym rodzaju walka. Nie walka bezlitosna, walka ślepa, walka, która drugiemu nie daje żadnej szansy. Musi to być walka w stylu Jezusowym. Jezus walczył o sprawiedliwość, walczył z pasją. Ale walczył z pokojem i miłością w sercu. „Walczyć niosąc w sercu pojednanie” — wzywają nas bracia z Taizé, z miejsca pojednania. Czy to nie dotyczy najpierw zwiastuna Słowa? Przepowiadać Ewangelię, głosić kazania — z sercem pojednanym... Cóż to znaczy? To chyba znaczy nie pragnąć zwycięstwa swego, lecz zwycięstwa dobra. To chyba znaczy głosić Dobrą Nowinę, a nie cudze wady i zręczne epiteity. To chyba znaczy drugiego zrozumieć, a nie osądzić, przekreślić, obrazić, pogryźć. To chyba znaczy upomnieć się o krzywdę, walczyć o sprawiedliwość i prawdę, głosić solidarność, ale nie walczyć przeciwko drugiemu człowiekowi.

Walczyć trzeba o obu: o krzywdzonego i krzywdziciela. „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj” (Rz 12, 21). Zwyciężaj! Ale dobrem. To dotyczy chyba także kaznodziei? Jeśli mam innym przynosić wolność — muszę chyba sam być człowiekiem wolnym? Wolnym nie tylko od nienawiści (to oczywiste), ale także od złośliwości, od uprzedzeń, od chęci postawienia na swoim (a nie na Bożym). Nie tylko nie próbującym tworzyć „obrazu wroga” ale także nie godzącym się po cichu na taki obraz u słuchaczy „Błogosławieni miłosierni...” (Mt 5, 7). Misją głosiciela Słowa jest misja całego Kościoła, trudna, podwójna misja: z jednej strony — piętnować niesprawiedliwość, z drugiej strony — służyć

pojednaniu, autentycznemu pojednaniu... Królestwo ródzi się w walce i męce, ale nasze walki i męki są udziałem w Męce Pana, przyjętej i przecierpianej za wszystkich ludzi, owocnej i zbawczej dla wszystkich ludzi; nieprzyjaciół przemieniającej w przyjaciół, nienawiść — w miłość. Królestwo rodzi się w miłości... „Królestwo prawdy i życia, Królestwo świętości i łaski, Królestwo sprawiedliwości, miłości i pokoju” (z prefacji).

O przyjscie tego Królestwa modlimy się codziennie. I budujemy je już codziennie — cegielka po cegielce. Pewnego dnia, Dnia Pańskiego, nadejdzie ono w pełni. Historia będzie zamknięta. Nie będzie już państwa. Skończy się polityka. „I otrze z ich oczu wszelką łzę, a śmierci już odtąd nie będzie. Ani żaloby, ni krzyku, ni trudu już nie będzie” (Ap 21, 4). Będzie tylko „Miało Święte — Jeruzalem Nowe zstępujące z nieba od Boga” (21, 2), Państwo dzieci Bożych zgromadzonych w miłości, Świat Nowy, który wszyscy przygotowujemy poprzez walki, męki, trudy i zmagania naszej historii, naszego życia dzisiejszego, naszej ziemi, tej ziemi. Jako ksiądz, dzisiaj, moim słowem — jeśli jest ono nie moim, lecz Bożym słowem! — nad tą ziemią, polską ziemią otwieram i rozwarte trzymam niebiosą Boże...